

Stoję

Siódma trzydzieści; miasto zaciskają sznurówki złożone z tysięcy elementów, pędzących do celu nitek. Spieszą się, nieświadomie płaczą. Każda obiera swój kierunek. Przed moimi oczami galopuje definicja chaosu, zderza się z niezależnymi elektronami, warkotem silnika, stukotem obcasów. Jak pszczoły po ekstazie, mijają mnie, jedna za drugą.

Stoję.

Ludzie tak bardzo różnią się chodem. Starsza kobieta w antycznym kapeluszu stąpa ostrożnie, bada grunt jak ranna łania. Może jeszcze pamiętać wybuch granatu, słyszeć okrzyki stłumione przez płytę chodnikową. Nastolatek woli zatopić się w muzyce płynącej z jego czarnych słuchawek. W butach wysokiej klasy nie musi wstydzić się pewnych, długich kroków.

Tu wszystko jest częścią wszystkiego. Filigranowa biznesmenka podąża za tłumem, po chwili wtapiając się weń bezpowrotnie. Już nigdy się nie spotkamy. Nigdy nie dowie się o moim istnieniu, a ja jutro zapomnę, jak wyglądała. Taka jest kolej rzeczy.

Nie potrafię też zrozumieć takiej liczby istnień. Nasze doby są identyczne, spotykamy się na jednej ulicy w walce o nasze ambicje, które wspólnie posiadamy. Ale jesteśmy sobie obcy. Zostaje po nas zapach, zdeptana mrówka, ślad w kałuży. Coś, co zgaśnie, aby ustąpić miejsca nowym bytom.

Kolejne nieprzypadkowe dźwięki, światła, opinie i emocje, po prostu my, mają dodatkowo wspólną cechę. Kiedy powoli ruszam, otoczona głosami, zauważam, że jesteśmy bardzo rozrzućną rasą. Gubimy i odrzucamy od siebie przeszłość, w ten sposób zabijając szansę na odnalezienie przyszłości, a także zubożając ją. Przeszłość, terażniejszość i przyszłość, w nieskończoność powtarzające się słowa. Oglądam je w świetle złotej latarni. Czy wszyscy ci ludzie wiedzą, dokąd zmierzają? Nie, jeśli nie uświadomią sobie, gdzie byli.

Wystarczą wspomnienia. One instruują i pomagają, torując przeszkody. Dzięki nim mogę żyć tysiąc razy.

Kiedy patrzemy, nie poprzestawajmy na tym. Dany nam jest niezwykle dar umiejętności łączenia kropek, szukania B, gdy widzimy A. Użyjmy oczu do zrozumienia, aby zawsze móc sięgnąć do własnej biblioteki doświadczeń.

Odgłosy. Zasapana dziewczyna biegnie w stronę odjeżdżającego autobusu. Nie ma szans. Pochyla się, układa ręce na kolanach, a z jej ust wydobywa się para zrezygnowania. Co ją teraz czeka – kolejne skarcenie, długie macki kłamstw, utrata zaufania? W tej chwili tak dobrze byłoby zamienić się w małe dziecko.

Dorośli, mężczyźni i kobiety, są oblepieni zachłanną gliną, przedostającą się do uszu i zasłaniającą oczy niczym maska do snu. To ona buduje pozory. Jest za ciężka, aby ją rzucić, z czym nie pogodziło się tylko serce. Bo w głębi każdy skrywa małe, wciśnięte w kąt stworzonko, liczące, że zaraz wróci mamusia i tatuś. Rodzice uklękają, aby nie być wyższym od nędznej latorośli, pogładzą po kosmykach, a po chwili otulą własnym ciepłem. Wszystkim się zajmą, zawsze troszcząc się, aby ich skarb nie doznał krzywdy.

Kiedys uczepiliśmy się palców rodzicieli, unieważniając ich rytm dnia i nocy. Wciąż budziliśmy się i zasypialiśmy, gdy oni sporządzali listę tego, co może nam zaszkodzić, a co uspokaja. Obserwowali nasze próby uniesienia głowy podczas pełzania. Wytwarzaliśmy dla nich tlen, a sami zaczerpywaliśmy ten, który mogli nam podarować; odrębność ze spokojem czekała na drugim planie. Chociaż wydawało się, że bezlitośnie wchłaniamy czas opiekunów, w rzeczywistości widzieli w tym odbicie swoich starań. Ile radości kryło się w tupocie stóp, szczerym chichocie. Piskłę stało się

złotą monetą, którą ścisnęło się z całej siły dłońmi. Gdy dorastało, rzucało się nią w szczyt fontanny, wierząc w szczęście i powodzenie.

Przyjaciółki szepczą między sobą, otulając się kurtkami. Nie chronią się przed chłodem. Pilnują sekretu, aby ten nie uleciał.

Dzieciństwo to rumianki schowane pod kawałkami potłuczonego szkła. Układamy obok siebie mleczne płatki, tak samo jak robimy to z tajemnicami. Wybrane dotykamy jeszcze raz, inne na zawsze wnikają w ziemię. Wtedy nawet my nie możemy ich wykopać, a każda próba kończy się ciemną ziemią zmieszaną z odcieniem szkarłatu pod paznokciami. Mimo świadomości, że należy opuścić mogiłę, uczepiamy się zapachu konwalii, smaku ziaren słonecznika, odgłosu szeleszczących jesienią liści, którymi zakrywamy nagrobek. W alternatywnym świecie duchy są przywracane do obrazów dzisiejszego dnia, ale okazuje się, że nie są w nim szczęśliwe. Ich kontury rozmywają się, po czym przywracają do brutalnej rzeczywistości. Wbijają sztylet w plecy, potwierdzając, że nic już nie będzie takie samo.

Jednak pewne rzeczy potrafią być niezmiennie.

Pierwotne emocje przypominają o naszym pochodzeniu. Ciekawość i wstręt towarzyszą nam od urodzenia, po miesiącach rozwijamy gniew oraz lęk upodabniający nas do innych zwierząt, a już po drugim roku życia odczuwamy poczucie winy. Nie prześpiemy momentu rozdawania części człowieczeństwa, które do końca będzie stąpało obok ciężkimi i surowymi krokami. Współzawodnik za każdym razem wyprzedzi nas o myśl. Ale nie zapomni o wyciągnięciu dłoni, gdy zapragnie przyjaźni.

Potężne drzewa trwają w bezruchu przez wieki. Pobierają korzeniami wspomnienia, a następnie ukrywają je w koronie. Na ich szczątkach powstają najwyższe szklane wieżowce, które czekają na huk upadku i pokrycie się czarnym dymem.

Nadszarpnięte zębem czasu przedmioty mają swoją historię, i to sprawia, że w nas wsiąkają. Rozprowadzają po żyłach ówczesne marzenia czy sny, ale pomagają bolesnej tęsknocie. Nie istnieją podobne dni, a żadna noc nie znajdzie swojej bliźniaczki. Detale układają się w litery, te z kolei w tekst. Mamy zwyczaj odwracania wzroku, gdy widzimy krzywe linie zakłócające doskonałość. Starość, odmienność i brak skutecznego lekarstwa.

Czuję się tak, jakby ktoś odkręcił zawór. Ulicami płynie szumiący zlepek dusz. Mogę dać mu się porwać, bo wiem, że kiedy dołączę, nie będzie rumianków, wiatru, nagrobków, winy. Stratuję wirujące pyłki, po czym przestanę wykraczać poza miejsce, w którym się znajduję. Im szybciej idę, tym z większą siłą prasuję magię. Ostatecznie przestaję być brakującym elementem, jednym spośród miliardów.

Jestem pewna, że jutro wrócę, by zacząć od nowa.